

Ostatnie spojrzenie do terminarza. Geografia, historia, polski. Zapisuję kartkówkę w kalendarzu, żeby nie zapomnieć. Na razie jestem na bieżąco. Przypominam sobie wiadomości sprzed tygodnia. Naprzeciwko biurka wiszą nazwy geograficzne: mórz, półwyspów, szczytów. Zapamiętuję Rysy, Śnieżkę, Morze Bałtyckie, Morze Czarne, Półwysep Arabski. Wiem, ilu Francuzów, Belgów i Niemców mieszka w Warszawie. Za to w ogóle nie mogę zapamiętać liczby mieszkańców narodowości chińskiej.

Przechodzę powoli do historii. Wyliczam członków różnych dynastii. Tworzę zharmonizowaną ekstralistę Piastów. Powtarzam wte i wewte (w tę i we w tę). Polski zostawiam na koniec. Nie waham się powiedzieć, że przygotowanie do dyktanda to błahostka, ale na pewno pojawią się też wyrazy, które nieraz potrafią uprzykrzyć życie. Wertuję słownik, który dostałam na mikołajki. Znajduję ni stąd, ni zowąd ciekawy wyraz: nicnierobienie. Na pewno wkuję to słowo.

Tymczasem zaczyna się zmierzchać. Powoli kończę naukę. Przeglądam jeszcze oferty sklepów internetowych. Kuszą superceny na wyprzedaży, ale powoli ogarnia mnie senność. Znienacka wyskakuje komunikat: słaba bateria, więc zakupy odkładam na jutro.

Przekomarzam się chwilę z młodszym bratem, który bynajmniej nie zamierza iść spać. Naprędce robię wieczorną toaletę i pomału się kładę. Czuję, że obrazy, które wirują mi przed oczyma, to już senna otchłań. Śnię.

Biegnę na autobus. Na co dzień noszę inne buty, dziś mam wyjątkowo niewygodne. Śnieg skrzypi. Nocny przymrozek sprawił, że chodniki są śliskie. Autobus hamuje, powoli zbliżając się do przystanku. Nie spóźniłam się. Jadę do szkoły. Wsiadając, słyszę dzwonek. Dzwoni nieprzerwanie. Czyżby alarm?

Nie, to budzik. Wstawaj, pobudka. Wychodzę spod kołdry. Włączam komputer. Mrzonka normalnych lekcji znika. Łączę się.